

„Historia zmusza do wzięcia władzy” Rozmowa z Andrzejem Łapickim

W związku z wystawieniem na scenie w POSK-u „Sztuki konwersacji” Kazimierza Brandysa, w Londynie na zaproszenie Urszuli Święckiej przebywał znany polski aktor, reżyser i pedagog, Andrzej Łapicki, poseł na Sejm PRL z ramienia „Solidarności”. Korzystając z okazji „Dziennik Polski” poprosił go o rozmowę.

D.P. — O ile wiem jest to pana druga wizyta w Londynie?

Andrzej Łapicki — Trzecia, ponieważ oprócz występu z „Emigrantami” Mrożka, byłem tu w 64 r. z Teatrem Współczesnym, grając w „Dożywociu” Fredry.

D.P. — Ale na pewno pierwsza, jako posła na Sejm.

A.Ł. — Tak. Cały czas jestem zresztą myślny w kraju. Wyrwałem się na parę dni, nie sądząc, że tam sprawy potoczą się tak szybko.

D.P. — Czym tłumaczy pan fakt, iż tak wielu ludzi teatru zaangażowało się obecnie w działalność polityczną, nietypową dla tego zawodu?

A.Ł. — Okres 80-81 przewartościował świadomość aktorów, którzy poczuli się potrzebni nie tylko w charakterze wykonawców i „udawaczy”, odkrywając szansę wykorzystania swej popularności i wpływu na widownię w sensie narodowym, społecznym i politycznym. Jest zasługa „Solidarności”, że grupa aktorów, która się z nią związała, już z tego kręgu politycznego nie wyszła. Uważam to zresztą za wielki awans naszego zawodu.

Zwłaszcza stan wojenny ukazał tę nobilitację aktorstwa przez upolitycznienie. Myślę oczywiście o upolityczeniu w dobrym sensie, bo wcześniejsze próby polityki oficjalnej nie przyniosły nikomu ani chluby, ani rezultatów. Na szeroką skalę prawdziwa polityka dla dobra społeczeństwa zaczęła się wraz z wybuchem „Solidarności”.

D.P. — Wczoraj udzielił pan wywiadu prasie francuskiej?

A.Ł. — Telewizji. Rozmawiałem we czwartek 17 sierpnia, a wczoraj byłem jeszcze w Sejmie, gdzie się dosłownie gotowałem w związku z kandydaturą Wałęsy na premiera. Powiedziałem francuskim reporterom, co portarżam i dzisiaj, że w moim przekonaniu fotel premiera nie jest miejscem dla Wałęsy, który jest symbolem ogólnonarodowym i ma tak wielką rolę do spełnienia, iż nie powinien ograniczać się do funkcji w gruncie rzeczy administracyjnej.

Powinien być przewodniczącym Związku, liderem życia politycznego i nadal symbolem. To coś więcej niż premier.

No, ale dzisiaj okazało się, że zamierza tylko pomóc w sformułowaniu gabinetu, nie obejmując stanowiska. To dobrze.

D.P. — Użył pan kiedyś określenia „taktika krącenia salami”, że niby trzeba zabierać władzę po jednym plasterku. Czy obecna sytuacja to jeszcze salami?

A.Ł. — O, nie! To już cięcie całej kielbaszki jednym ruchem. Trzeba brać wszystko, albo nic. Nikt nie przypuszczał, że ten moment nadejdzie tak prędko i teraz trzeba decydować w biegu. To tempo jest bardzo niepokojące i dopiero przyszłość pokaże, czy podjęte decyzje były słuszne. Ale

wydaje mi się, że nie ma wyjścia i trzeba ten rząd formować, tym bardziej, że są do tego współnicy. Dotychczasowe stronnictwa satelickie zgłosiły gotowość koalicji z „Solidarnością”, co daje nam natychmiastową większość w Sejmie. Nikt się tak niezwykłej sytuacji nie spodziewał i obawiam się, że nie wszyscy jesteśmy do niej przygotowani fachowo czy organizacyjnie. Jest to ogromne ryzyko, które jednak trzeba podjąć, skoro się weszło w te układy.

Ciągle zresztą wydaje mi się, że to jakiś piekielny podstęp, pułapka na „Solidarność”, to oddanie władzy w łagodny sposób. Może chodzi o to, żeby udowodnić w tej okropnej sytuacji gospodarczej, że nawet „Solidarność” nie da rady, żeby ją skompromitować, powiedzieć — proszę bardzo, daliśmy wam władzę i co?

A przecież niepowodzenie jest możliwe, nikt w krótkim czasie nie dokona ekonomicznego cudu, którego ludzie się domagają.

Jeżeli na czele rządu „Solidarności” będzie stał człowiek cieszący się ogólnym zaufaniem, to może poczekać — bo społeczeństwo mamy bardzo cierpliwe. Ale niebezpieczeństwo istnieje i komunisti świetnie sobie z niego zdają sprawę. Kto wie, czy nie umyślnie wepchnęli „Solidarność” w sytuację bez odwrotu — bo odmówić wzięcia rządu nie możemy. Historia zmusza do wzięcia władzy, tyle, że moment jest bardzo niesprzyjający.

D.P. — Istnieje jeszcze niebezpieczeństwo blokowania i sabotowania przez komunistów poczynań „Solidarności”, bo w ciągu dnia nie zmienia się przecież nomenklatura.

A.Ł. — Oczywiście. Mówi się „nasz premier, nasz rząd”, ale to niesie dalsze implikacje. Np. telewizja — ta dotychczasowa fabryka prania mózgow. Jasne, że nastąpi zmiana prezesa radiokomitetu i przejmując telewizję, „Solidarność” zyskuje więcej niż gdyby przyjęła parę dywizji wojska. Jest wprost nie do pojęcia, że reżim z tego rezygnuje. Mniej interesują mnie ministerstwa obrony i spraw wewnętrznych — może za trudno to sobie wyobrazić? — ale, że oddadzą prasę? Ze zacinamy informować społeczeństwo w sposób uczciwy i obiektywny, jak robi to nasza mała, bardzo kochana „Gazeta Wyborcza”? Ze zaciną powstawać inne tytuły?

D.P. — Pan przewidyuje oddanie władzy względnie łagodne?

A.Ł. — Tak to w tej chwili wygląda — jakby to było ułożone, jakby to był czyjś pomysł. Precyzując myśl do końca — uważam, że tamta strona uznała, iż sobie nie poradzi, jej rząd będzie musiał upaść — no to dajmy władzę „Solidarności”, niech jej rząd się przewracza.

D.P. — Zna pan oczywiście wywiad sekretarza propagandy

KC Sławomira Wiatra, że „większość parlamentarna nie jest wystarczającym warunkiem do przejęcia władzy”?

A.Ł. — Nie przywiązywałbym wagi do pojedynczych wypowiedzi, choćby i z wysokiego szczebla. Jeżeli postanowili oddać władzę, to oddadzą i niepokoi mnie ta łatwość.

Nieprawdą jest, że Kiszczak nie mógł sformułować rządu — gdyby chciał, wystarczyłoby mu parę telefonów. Z tamtej strony amatorów na ministrów nie brak. Wiadomo nie chciał.

Przecież „Solidarność” od początku mówiła, że nie wejdzie do wielkiej koalicji, skąd więc potem to nagłe rozdzieranie szat. I nagle Kiszczak rezygnuje, parlamentarnie, niemal jak na Zachodzie, wysuwając przy tym kandydata na swoje miejsce, o którym z góry wiadomo, że jest nie do przyjęcia. I daje pole, które musi zaraz być zajęte, no i oczywiście „Solidarność” je zajmuje.

Poprowadzenie w tej sytuacji gabinetu przez Wałęsę byłoby ogromnie niebezpieczne. Upadek rządu „Solidarności”, który przecież jest możliwy — jeszcze wszystkiego nie przekreśla, natomiast upadek Wałęsy, jako szefa rządu, miałby bardzo daleko idące konsekwencje.

D.P. — Spróbujmy przejść do spraw teatralnych.

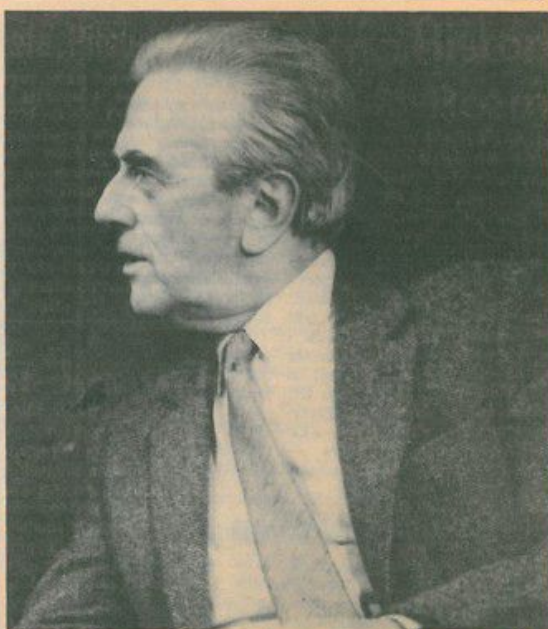
A.Ł. — Ba, kiedy ze względu na zajęcia polityczne teatr zszedł u mnie na drugi plan. W kwitniu zacząłem próby „Cyklopa” Władysława Terleckiego (b. aktualna sztuka o Wielopolskim) i z trudem doprowadziłem go do prób generalnych. Podejrzewam, że na dłuższy czas będzie to moja ostatnia praca teatralna. Za wiele zajęć — jestem posłem, przewodniczącym sejmowej Komisji Kultury, do tego wykłady w Wyższej Szkole Teatralnej, sesje sejmowe do późnej nocy... Od 5 lipca kiedy to zostałem posłem, moje życie zmieniło się diametralnie. Wszyscy zresztą staliśmy się kimś innym i trudno cokolwiek planować. Chyba, że Jaruzelski rozwiąże Sejm. Pani odpukuje?

D.P. — Tak. Ale żeby nie zabrakło pytania o rolę — którą z nich, poza obecną, sejmową, najbardziej pan sobie ceni?

A.Ł. — Dotąd nie robiłem takiego obrachunku, uważając, że jeszcze sporo przede mną. Teraz jednak widzę, że na niewiele od strony zawodowej mogę liczyć. Długo nie zagram niczego nowego.

Cenię sobie rolę Arnolfa w „Szkołach” Moliera, jako spełnienie młodzieńczych zamiarów. Widziałem Jouveta w tym, no i po 31 latach udało mi się moje plany zrealizować. Oczywiście było wiele innych może wspanialszych ról, które spadły mi nieoczekiwanie z nieba, zgodnie ze specyfiką naszego zawodu, ale tamta jest mi wyjątkowo bliska.

Cenię sobie też bardzo to, że byłem rektorem Państw. Wyższej Szkoły Teatralnej przez dwie kadencje, demokratycznie wybranym



w okresie „Solidarności”. Tam się zaczęła moja szkoła polityczna i tam doznałem jako działacz, mając odpowiedzialność za wielu ludzi. Dało mi to pewne przygotowanie do tego, co teraz robię.

No i jak pani widzi, znów wróciłem do tematu polityki, nie bardzo mi się chce mówić o teatrze.

D.P. — Jeszcze dwa słowa o reżyserach.

A.Ł. — Starych już nie ma, młodych nie znam. Przeważnie pracowałem sam ze sobą, może to niedobrze, ale przynajmniej nie traciłem czasu na uzgadnianie koncepcji.

Teatr polski znajduje się obecnie w bardzo złej kondycji nie tylko z powodów ekonomicznych i wynikających z braku stabilizacji politycznej — zapaści organizacyjnej. Jest niedobry zawodowo. Pojawiała się tendencja do zrywania z tradycją, odcinania od tekstu i szukania za wszelką cenę efektów popisu osobistego. Poza tym — nie są to czasy sprzyjające teatrowi, gdy cały kraj jest seną.

D.P. — Perspektywy ZASP-u?

A.Ł. — Nie byłem w zarządzie związanego ZASP-u i oczywiście nie mam nic wspólnego z tzw. neo-ZASP-em, ale brałem udział w pracach i nieoficjalnych kontaktach środowiska w stanie wojennym. Uważam za cenne osiągnięcie to, co udało nam się zrobić z Holoubkiem i Szczepkowskim — ów sejmik aktorski, zgromadzenie artystów teatru, zwolane poza jakąkolwiek organizacją. W marcu zjechali się delegaci wybrani przez swoje zespoły w sposób demokratyczny i żeby nie utrudniać — przyjęto opcję zerową, zaczęcie od początku.

Na październik zwołano zjazd całego środowiska, z wyborem delegatów bez względu na ich przynależność do starego czy nowego ZASP-u. Dokona się wyboru Zarządu, który w czasie skróconej, półrocznej kadencji przygotuje nowy statut, określający cele i zadania naszego stowarzyszenia. A potem następane wybory i wreszcie powstanie reprezentatywny związek. Musi przyjść fala nowych

działaczy, bo my już na wychodnym — ludzi czystych politycznie, nie splamionych kolaboracją z reżimem. W chwili obecnej, spauperyzowane środowisko jakby się błęka. Prawda, że w stanie wojennym zachowało się wspaniale, ale sytuacje ekstremalne zawsze są łatwiejsze. A tu trzeba chronić samą ideę teatru, zadbać o byt ideowy i materialny.

D.P. — Był pan kandydatem „Solidarności” za granicą.

A.Ł. — To były wielkie dni, zagranica ogromnie nas podparła. Mam teraz miły obowiązek rewanżu, rozmów i spotkań z wyborcami.

D.P. — Wybory nie były tu sprawą jednoznaczną.

A.Ł. — Zdamy sobie sprawę, że nfe pochwalono samego faktu wyborów. Ale rzeczywistość wykazuje, iż tak właśnie trzeba było i że jednak dobrze się stało. W rezultacie mamy jakby nadmiar możliwości, z którymi nie wiadomo, czy mamy sobie radę.

D.P. — Czy mogę powiedzieć, że jest pan optymistą?

A.Ł. — Optymistą kontrolowanym. Muszę wierzyć, że będzie dobrze, biorę w tym czynny udział i nie mogę sobie pozwolić na pesymizm. Można powiedzieć, że jestem rozważnym optymistą, sprawy rozwijają się tak, jak powinny, tyle, że przeraża mnie tempo ich rozwoju. Obysmy nie dali się ponieść tej fali i zachowali cały czas kontrolę.

D.P. — Dziękuję serdecznie za rozmowę. W imieniu Czytelników i swoim życząc Panu sił, wytrwałości i powodzenia w pracy dla dobra naszej wspólnej Ojczyzny, a także wielu jeszcze wspaniałych osiągnięć teatralnych, na które wszyscy czekamy.

Rozmawiała Tessa Ujazdowska

OGŁOSZENIA W
„DZIENNIKU POLSKIM”
CZYTAJĄ POLACY
NA CAŁYM ŚWIECIE